

Na widowni stadionu zgromadziły się tego dnia miliony ludzi żądnych krwi. Wokół trybun organizatorzy umieścili ekrany ogniskujące. Konwertowały obraz na 3D, więc każdy widz miał możliwość podziwiać widowisko tak, jakby siedział na piachu pomiędzy walczącymi. Oprócz tego mógł czuć smród potu i strachu, krwi i podniecenia zbliżającym się tryumfem.

Herold wstąpił na podwyższenie, by zaanonsować to, na co wszyscy czekali z wytęsknieniem i niesłabnącą ekscytacją:

- A teraz walka wieczoru! – wykrzyknął, po czym zniżył głos, budując. – Po mojej lewej wielki jak skała, silny jak gigant, niepowstrzymany jak lawina w jego rodzinnych stronach przybysz z górzystej planety w dalekim zakątku Mglawicy Kraba – zamilkł na moment, by zaraz podjąć: - Harrus! Kan! Din!

Kroki wojownika na arenie było słychać nawet bez wzmacniaczy. Konferansjer w zapowiedzi ani trochę nie przesadził – gladiator rzeczywiście przypominał skałę. Szarawa skóra, a pod nią ogromne mięśnie. Długa, brązowa broda zwisała niemal do pasa i przywodziła na myśl piarg w żlebie. Równie długie, gęste włosy zaplótł w warkocze i wydawać by się mogło, że jest w stanie udusić nimi dorodnego byka z układu Taurus. Dzierżył ogromny topór i gdyby nie obecność na arenie, z powodzeniem znalazłby z nim pracę w rzeźni.

- Zaś po mojej prawej – wykrzyknął konferansjer, przerywający „ochy” i „achy” – znana i uwielbiana, nieznająca strachu oraz granic poświęcenia. Na śniadanie pije krew wrogów, a na obiad zjada ich serca! Zna budowę ciała lepiej niż chirurdzy Akademii Kosmicznej, a jej miecz tnie skuteczniej niż ich laserowe skalpele! Ar! Te!

- MIDA! – dokończył tłum, a wrzawa zatrzęsała areną.

Artemida posturą nie przywodziła na myśl skały, ani nawet posągu. Nie była większa od jednej nogi Góroczłeka, Harrusa Kan Dina. Czarne włosy sięgały jej nieco poniżej ramion, a w ryzach trzymała je czerwona opaska. Doświadczona, lecz nadal piękna, twarz nie pozwalała zapomnieć o setkach stoczonych walk, o przelanej krwi, bólu, nadziei i boju z sobą samym. Pod opaloną na złoto skórą drgały włókna wyrzeźbionych treningami mięśni. Gdzieniegdzie niemalże boskie, doskonałe ciało znaczyły blizny. Spokój w oczach przerażał, gdyż nieustraszona kobieta szła do pojedynku na śmierć i życie z olbrzymem, a sprawiała wrażenie, jakby wstawała z łóżka po upojnej nocy.

- Do boju! – wrzasnął herold, po czym uderzył w wielki gong, oznajmiając początek starcia.

Harrus ruszył do biegu, na początku powoli, z czasem coraz szybciej. W ustach rodził mu się bojowy krzyk i niewidomy człowiek mógłby pomyśleć, że z gór naprawdę schodzi lawina.

Artemida wbiła miecz w arenę, przyklęła i, nie spuszczać rywala z oczu, nabrała garść piasku i przetała nim dłonie. Chwyciła rękojeść, wykonała kilka efektownych młynków ku uciesze tłumu i również zaczęła biec.

Zbliżali się do siebie nieuchronnie. W tym czasie Górocłek miał w głowie jedynie obraz tego, jak ogromny topór przecina rywalkę na pół. Zbliżyć się na odległość pozwalającą zadać cios, wziąć zamach i po wszystkim spojrzeć na zmasakrowane szczątki, tak jak wiele razy wcześniej. Artemida wykorzystywała każdą sekundę, by rozpoznać przeciwnika. Ludzie Gór mieli wyjątkowo twardą skórę i włosy tak wytrzymałe, że produkowano z nich nawet cumy do intergalaktycznych frachtowców Floty. Ciosy w głowę, szyję, serce i inne pospolite ważne dla życia punkty nie wchodziły w grę.

Gdy odległość wyniosła mniej niż trzy metry, wojowniczką padła na kolana i wykonując ślizg po piasku, uniosła miecz nad siebie, celując w pachwinę wroga. Harrus nawet nie poczuł cięcia. Wbił topór w piach i, używając go jak kotwicy, nawrócił do szarży, rycząc przy tym jeszcze głośniejszym, niż przedtem. Artemida stała, wyczekiwała. W odpowiednim momencie zrobiła dwa kroki do przodu, zamarkowała ślizg, a kiedy Górocłek się pochylił do kontry, po jego nodze wskoczyła mu na kark. Oplotła warkocze rywala wokół ogromnej szyi i spróbowała duszenia. Usłyszała śmiech spomiędzy brody.

- Nie masz dość siły, pchełko. – Wycharczane słowa utwierdziły ją w przekonaniu, że nie udusi giganta. Wiedziała o tym od samego początku, czekała tylko na jego reakcję.

Ta nadeszła zgodnie z przewidywaniami. Harrus zamachnął się toporem za siebie, celując w Artemidę. Wojowniczką jednak ześlizgnęła się w dół po rozległych jak ryżowe pola plecach i w momencie, kiedy topór wbijał się Górocłękowi w grzbiet, ona ponownie cięła między nogi.

Harrus przyklęknął i sapnął z wysiłkiem. Walka nie przebiegała po jego myśli. Dotychczas wystarczył jeden zamach, jeden cios, by przeciwnik rozpadł się jak porcelanowa figurka ciśnięta na podłogę. Spotykał już zwinnych, szybkich i sprytnych. Chwytał ich jak wszy, gdy nieudolnie próbowali zrobić mu jakąkolwiek krzywdę. Następnie rozbijał ich czaszki o ściany areny ku uciesze gawiedzi. Jednak Artemida była nie tylko sprytniejsza i zwinniejsza, ale wiedziała też, gdzie uderzać, czego dowód stanowiła karmazynowa struga spływająca mu po nogach.

- Wygląda na to, że po walce nie pójdziesz na dziewczynki – rzuciła Artemida z uśmiechem.

Harrus nie czuł bólu, ale wiedział, że upływ krwi za chwilę pozbawi go sił, a potem przytomności. Oprócz tego bezsilność, niemożność obrócenia walki na swoją korzyść i drwiny przeciwniczki zbudziły wciekłość. Szał Góroludzi był niezwykle pożądany w wojnach, gdzie oddział parł naprzód i niszczył wszystko na swojej drodze, lecz na arenie poddanie się złości w konfrontacji z wyszkolonym przeciwnikiem z reguły oznaczało śmierć.

Jednak Harrus postanowił zaryzykować. Wrzasnął wniebogłosy, aż zadrzała arena i zgromadzeni na niej widzowie. Z uszu, nosa i oczu buchnęła mu krew. Rozłożył ręce na boki i pozwolił, by gniew wypełnił go całego, by adrenalina i szal biegły każdą żyłą, każdą tętnicą, by dodawały mu sił. Krzyczał, a krzyk zdawał się wzmacniać z każdą sekundą. Harrus czuł, jak wstępuje weń boska moc, radość zabijania, ekscytacja na myśl pozbawienia życia kolejnej istoty.

Wtedy Artemida wbiła mu miecz pod brodę, a ostrze sięgnęło mózgu. Nim wielkie, martwe ciało runęło na piach, gladiatorka zdążyła wyrwać klingę i uskoczyć na bok. Harrus upadł, jak czterystuletni buk ścięty drwalską piłą. Zwycięzczyni wytarła w jego włosy krew z miecza i zwróciła się w stronę widowni, chłonąc gromkie brawa.

\*\*\*

„Wspomnienia Gladiatora”, autor nieznany.

11-06-2307, Proxima Centauri b.

*Krew, brud, zmęczenie i nieustająca walka o przetrwanie.*

*Byle trzy lata.*

*Byle pięć.*

*Byle dostać drewniany mieczyk i nie bać się o jutro.*

*Kilkadziesiąt lat temu wszystko było prostsze. Za przestępstwa i długi łądowałeś w pierdlu, obozie pracy albo w celi śmierci. Kto by pomyślał, że ludzkość zatęskni za poczciwymi, klasycznymi karami? Za mamrem i zastrzykiem? Jednak na nasze nieszczęście niejaki Vilem, dupek z przestworzy, bogacz, snob i archeolog-amator na jakiejś zatęchłej planecie zwanej Ziemią odgrzebał „interesujące” zapiski. Traktowały o gladiatorach. Tak bardzo się tym podniecił, że postanowił wyłożyć kolosalne środki na wskrzeszenie tradycji.*

*Pomysł wypalił. Niestety. Mania krwawych walk opanowała większość majątnych rodów galaktyk od Gromady w Pannie aż po Ursa Major. Na początku rekruterzy celowali w wojskowych, którzy mieli doświadczenie bojowe. Za przewinienia w armii karano zesłaniem na arenę, więc żołnierze zaczęli masowo dezercerować. Żeby było śmieszniej – za dezercję także trafiali na arenę.*

*Więzienia opustoszały niemal doszczętnie, ustały konflikty zbrojne. Walczące frakcje wołały rozstrzygać spory w trakcie igrzysk, redukując nakłady finansowe i ludzkie.*

*Z czasem co bogatsze i zmyślniejsze rody jęły ulepszać swoich czempionów. Metalowe wstawki, usprawnienia psycho-somatyczne, redukcja percepcji bólu i tym podobne. Boom na technologię trwał dobrych kilka lat, lecz skończył się tak gwałtownie, że prawie wybuchła wojna. Część rodów żądała pozostawienia modyfikacji, tak zwanych „modów”. Część zaś propagowała czystość wojowników, krytykując mody jako Pay-to-Win.*

*Ostatecznie czystość wygrała. Wprowadzono też rejestr ras zakazanych, których naturalne cechy dawały przewagę. Nie sposób wymienić wszystkich, więc nie będę się tym kłopotać. Dość powiedzieć, że w najbliższym czasie na arenie ich nie ujrzycie. A jak dobrze pójdzie, nie ujrzycie także mnie.*

\*\*\*

- Siema, Yoshi – rzuciła Artemida, schodząc do szatni. – Będziesz dziś pucował klingę?

Yoshi spojrział na wojowniczkę z niesmakiem dobrze widocznym w nieco skośnych oczach. Od dwóch lat pełnił funkcję kwatermistrza gladiatorów Vilema, odkąd trenerzy uznali, że nie nadaje się do walki. Wychodził od czasu do czasu na arenę na pokazowe starcia, gdzie przez kilka minut zabawiał tłum efektownymi wygibasami, po czym równie efektownie ścinał głowę, tudzież inne kończyny podstawionemu przeciwnikowi. Przewisko, wygląd oraz zwyczajowa katana u boku wskazywałyby na jego prajapońskie pochodzenie, ale Yoshi tak naprawdę nazywał się Achmat Josinow i miał przodków w Kazachstanie. Na nieszczęście jego właściciel uznał, że tym sposobem wskrzesi piękne, samurajskie tradycje. Yoshi nienawidził wskrzeszania tradycji, a tą był również żart, który zapożyczyła Artemida.

- Ten dowcip ma jakieś... sto czterdzieści lat? – usłyszała Artemida w odpowiedzi na zaczepkę.

- Nie przestaje mnie bawić.

- Tak. Słyszę go za każdym razem po walce, odkąd pierwszy raz rzucił go Krakhus w turnieju na Kamarze.

- Można powiedzieć – z uśmiechem odparła gladiatorka – że otrzymałam go w spadku, kiedy przebiłam mu serce trzy tygodnie później. Ale nie martw się – dodała, siadając na stołku – zawsze sama czyszcze swój miecz.

- Dobrze, że nie czyścisz czyjegoś... - mruknął Yoshi.

- Ty sobie żartujesz, a nie ma wcale wielkiej różnicy między gladiatorką, a dziwką. Obie są czyjąś własnością.

- Tak, tak - bąknął. - Trzeba ci coś wyklepać?

Podniosła na niego wzrok i uśmiechała się tak, jakby przed chwilą nie powaliła w boju trzystukilowego berserkera.

- Yoshi, ty tak celowo czy nieświadomie?

- Mam na myśli zbroję – odpowiedział, przewracając oczami.

- Wiem, zwyczajnie lubię się z tobą zgrywać. – Odrzekła, zrzucając zużyte części opancerzenia. - A ty powinienes wiedzieć, że przed każdą walką zakładam nowy sprzęt. Ale to już będzie ostatni raz.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze jedna walka – powiedziała bardziej do miecza, niż do towarzysza.

- Żartujesz? – Zdziwienie kwatermistrza nie miało granic. - Przecież następne igrzyska za miesiąc, a ty za dwa tygodnie dostaniesz rudis. Nie będziesz musiała walczyć!

- Wiem o tym doskonale.

- Więc czemu to robisz? Ja dziękuję bogom, swoim i cudzym, że okazałem się patałachem z talentem rozrywkowym i nie ryzykuję życiem, ale ciebie nie rozumiem.

- Zrozumiesz. Mój ojciec miał pewne marzenie – powiedziała, utkwivszy wzrok w polerowanej głowni. – Zmarł, nim zdołał je zrealizować, a pomysł skradziono. Lecz gdyby odniósł sukces, nie byłoby mnie tu. – Mówiąc to, podniosła na Yoshiego wzrok. – Nikt nie musiałby ginąć na arenie. Chcę dokończyć jego dzieło, dlatego mam do ciebie prośbę. Wiem, że potrafisz wszystko załatwić. Czy mógłbyś...

- Artemido!

Drzwi szatni otworzyły się z hukiem. Posłaniec, który je przekroczył, wyglądał na bogatego i ważnego, co dobitnie świadczyło o tym, że nie jest ani bogaty, ani ważny. Za to bogaty i ważny musiał być jego właściciel. Gонец przemówił wyuczonym tonem:

- Wielmożny Vilem ma zaszczyt zaprosić cię w swe skromne progi. – Patrząc na Yoshiego dodał: - Możecie, pani, wziąć niewolnika ze sobą.

- Przyganiał kocioł... – oburzył się kwatermistrz.

- Cicho, Yoshi – rzekła Artemida, następnie zwracając się do posłańca: - Jestem zmęczona po zmaganiach, niegodna gościć w skromnych progach twego pana.

- Wielmożny przewidział taką odpowiedź. W jego posiadłości czekają na ciebie, pani, wszelkie wygody. Kąpiel w mleku proximańskich kóz, sauna, czternaście rodzajów masażu do wyboru, kochankowie z najdalszych planet, wystawna ucztą zwieńczona zaszczytem audyencji u Wielmożnego.

- A żeby cię chuj z twoim masażem – burknął Yoshi bardziej do siebie.

Artemida nie miała najmniejszej ochoty ruszać się z szatni. Marzyła jedynie o prysznicu, sowej porcji mięsa i kilku godzinach spokoju na pryczy. Nawet kozie mleko i czternaście rodzajów masażu nie wydawały się jej kuszące. Jednak niepokoiło ją zaproszenie od Wielmożnego. W żadnym przypadku nie brzmiało ono: „Jeśli chcesz – przyjdź”, raczej: „Jeśli nie przyjdiesz, pożegnaj się z życiem” niezależnie od słów, jakich użył posłaniec. Wielmożni nie zwykli prosić, a jedynie oznajmiać lub oczekiwać.

- Muszę iść – powiedziała w końcu do przyjaciela.

\*\*\*

Pałac najpotężniejszego człowieka w tej części Wszechświata mógł onieśmielać. Z pewnością przytłaczał Artemidę, która ze skromnego domu trafiła najpierw na studia a potem na arenę. I ani dom, ani uniwersytet, ani nawet arena nie były tak imponujące, jak willa Vilema. Posiadłość ciągnęła się aż po horyzont w każdą stronę a oprócz ogromnego budynku mieszkalnego jej część stanowiły także ogrody, park, jezioro oraz inne atrakcje, których Artemida nie była w stanie dojrzeć z balkonu.

Wojowniczką kilka razy była przyjmowana w domach bogatych wielbicieli, ale z reguły wyglądały inaczej. Stało w nich pełno krzykliwych, efekciarskich rzeczy. Dzieła sztuki kontrowersyjnych artystów tak samo kontrowersyjne jak ich autorzy udawały ozdoby na ścianach. Nowoczesne bajery na każdym kroku – wielkie ekrany, hologramy, zaawansowany sprzęt do indukcji muzycznej, ogrom tandetnej elektroniki zorientowany za zachwyty mas. Byle tylko drogo i kolorowo. „Rzygowiny postępu” jak nazywał je Yoshi.

Ale nie tu.

Vilem miał gust. Artemida odniosła wrażenie, że właściciel osobiście urządzał posiadłość. Wnętrze pozbawiono kiczowatych elementów. Na ścianach wisiały dzieła sztuki godne najbogatszego archeologa w galaktyce. Stonowane i dobrane z wyczuciem kolory nie były po oczach, przeciwnie, uspokajały. Artemida oszacowała, że w salonie z powodzeniem

mogłaby stoczyć walkę z Górocześnie – rozmiar pomieszczenia mógłby zabić człowieka cierpiącego na agorafobię. Nie zapchano go przy tym chałturą, a jedynie artefaktami rzadkimi i drogimi jak serce gwiazdy. Gładiatorka rozpoznawała niektóre z nich, niektóre były jej obce, ale czuła, że za równowartość dowolnego z nich mogłaby wykupić wolność sobie i kilku znajomym z areny. Idąc przez posiadłość miała poczucie, że nadaje się ona zarówno do zaadaptowania na nocny klub, siedzibę parlamentu jak i na więzienie.

Czekał na nią na końcu salonu. Był odziany dystyngowanie, skromnie ale elegancko, jakby chciał powiedzieć: „Władam trzecią częścią Wszechświata, lecz się z tym nie obnoszę”. Włosy miał krótko ostrzyżone, bez szaleństw, nie używał makijażu w przeciwieństwie do sporej części Wielmożnych, a naturalne i ekscentrycznie piękne oblicze w dziwny sposób budziło zaufanie. Ręce swoim zwyczajem złożył za plecami. Kącik ust unosił lekko do góry w namiastce uśmiechu.

- Artemida – powiedział cicho, niemalże uwodzicielsko. – Królowa areny. Bogini łowów. Z chirurgiczną precyzją likwiduje każdego przeciwnika. Czy skorzystałaś z dobrodziejstw mojego pałacu?

- Tak, panie.

Otakował ją spojrzeniem, poświęcając uwagę każdej bliźnie, którą suknia odkrywała.

– Powiedz mi, moja droga – spytał - jak to możliwe, że otrzymawszy tyle ciosów, nadal żyjesz? Podobno jesteś w stanie pozwolić się ugodzić, jeśli widzisz w tym szansę na zwycięstwo. Błagam, zdradź mi swój sekret.

- Mój panie, to nic takiego.

- Jak to: „Nic takiego”? – wykrzyknął, wyrzucając do góry ramiona. – Kładziesz trupem Górocześnie, który nie pomieściłby się w tej komnacie. Odrąbujesz Karvarianowi wszystkie kończyny, jakby były zrobione z makaronu. Na wszystkich bogów! Zabijasz nosorożca z Vaako, który nawet oczy ma opancerzone! A teraz mówisz, że to nic takiego? – Chwycił ją za ramiona i delikatnie potrząsnął. – Jak ty to robisz? Odpowiedz, bo nie będę mógł usnąć.

Podniosła na niego wzrok i spojrzała jakby nieśmiało. Nie chciała prowokować, bo pod tym względem możni byli nad wyraz przewrażliwieni. Odparła:

- Anatomia, mój panie. – Puścił jej ramiona i cofnął się, zdziwiony. – Przed... Zanim trafiłam na arenę, uczyłam się na medyczkę. Poznałam anatomię każdej znanej nam rasy, w szczególności moją własną. Potrafię skierować ostrze wroga w swoje ciało tak, żeby ominęło ważne organy. A kiedy odnoszę zwycięstwo, medycy ratują mi życie. Ot i cały sekret.

- Imponujące – szepnął. – Wydałem tryliardy na szkolenia militarne, kursy szermierki moich ludzi, treningi sprawnościowe. Sprowadzałem gladiatorów z najdalszych zakątków kosmosu, a wychodzi na to, że wystarczyło posadzić ich do książek – rzekł z uśmiechem.

- To nie takie proste, panie.

- Och, zdaję sobie z tego sprawę, moja droga.

Zamilkł i opuścił wzrok, na jego twarz wychynął zagadkowy uśmiech, jakby Vilem rozmyślał nad całkiem przyjemną kwestią, jakby miał zamiar prosić o rękę kobietę, którą kocha, i która te oświadczyńy przyjmie. Objął wojowniczkę ramieniem i poprowadził w stronę balkonu.

– Spójrz w górę – rzekł. – Jak myślisz, ile z tych gwiazd należy do mnie? Energię ilu z nich przetwarzam na pieniądze?

- Nie wiem, panie. – Wbiła wzrok w buty. Nie była nieśmiała, po prostu nie chciała mu patrzeć w oczy, kiedy się chełpił. – Na pewno dużo.

- Dużo. – Uśmiechnął się. – Trochę więcej niż dużo. Lecz jednej gwiazdy, jaśniejszej najmocniej w okolicznych galaktykach mi brakuje. Wiesz, co to za gwiazda?

- Nie, panie.

Ujął jej dłoń, podniósł do ust i ucałował. Powiedział:

- Ty, Artemido.

- Schlebiasz mi, panie.

- W żadnym wypadku. Od chwili, kiedy cię ujrzałem, pragnę cię... - Omalże powiedział za dużo. – Gościć u siebie. Jestem skłonny odkupić twój dług od Risto.

- Dług to nie wszystko...

- Hah! Błagam! – Odwrócił się i przeszedł kilka kroków, swoim zwyczajem składając ręce za plecami. – Odstępne? Risto jest za tępy, by wskazać kwotę, której nie byłbym w stanie zapłacić. To Z'arhi, u nich liczenie do dziesięciu jest sukcesem.

Artemida milczała.

- Chodź, pokażę ci coś.

Udała się za nim do pomieszczenia, które na pierwszy rzut oka przywodziło na myśl gabinet. Dźwiękoszczelny, samoczyszczący z podsłuchów, odporny na wszelkie próby wtargnięcia z zewnątrz – czy fizyczne, czy elektroniczne - a biometrycznie zabezpieczono nawet długopisy. Jaskinia lwa, z której imperator wydawał rozkazy pozwalające mu kontrolować ogromne imperium. Gospodarz wysunął panel z klawiaturą, wprowadził skomplikowaną sekwencję znaków, przyłożył dłoń do płytki a oko zbliżył do skanera. Po



weryfikacji drzwi stanęły otworem. Vilem usiadł przy komputerze i wpisał kilka szybkich komend. Odwrócił monitor w stronę Artemidy.

- Widzisz te pola?

Ekran pokrywały ikony z numerami i nazwiskami, a było ich mnóstwo.

- Zapewne po utracie wolności poinformowano cię, czym jest Rdzeń – powiedział dość cicho.

Artemida doskonale wiedziała, co to jest. Niewielkie, interaktywne urządzenie wszczepiane do rdzenia przedłużonego pozwalające zapanować nad każdym więźniem. Ukazywało lokalizację, w razie potrzeby raziło prądem lub uśmiercało. Po odzyskaniu wolności i dezaktywacji, rozkładało się i wchłaniało do organizmu jak niegroźny guz. Udoskonalone pozwalało nawet udaremnić samobójstwo.

- Na tym ekranie widzisz istoty, które są moją własnością – podjął Vilem. – Na przykład ten człowiek... - Kliknął parę razy i oczom ich ukazał się robotnik, który zawzięcie machał kilofem. – Właśnie odzyskał wolność. Jednym kliknięciem. Otrzyma powiadomienie bezpośrednio do umysłu, że jego kara dobiegła końca. Ten gość... - Vilem wybrał innego niewolnika. Młody mężczyzna na ekranie padł na ziemię bez ruchu. – Nie miał tyle szczęścia. Jak widzisz, jestem panem życia i śmierci dla moich własności. Jeśli odkupię cię od Risto, będę mógł zwrócić ci wolność.

„Albo zabić” – pomyślała Artemida.

- Za dwa tygodnie – kontynuował Vilem – dostaniesz rudis i nie będziesz musiała walczyć na arenie, ale zgodnie ze zwyczajem jako rudarius pozostaniesz w szkole jeszcze dwa lata. Za skromną sumę mogę odzyskać dla ciebie ten czas. Oczywiście to nie jedyny profit, ale moim zdaniem najważniejszy. Czas to jedyne, czego ludzkości nie udało się ujarzmić – zakończył wstając i krzyżując ręce za plecami.

- To szczodry dar, mój panie – odpowiedziała cicho. – Czego oczekujesz w zamian?

- Och, a skąd pomysł, że mógłbym czegokolwiek oczekiwać? – Podszedł do niej zdecydowanie bliżej, niż by sobie życzyła.

- Nikt nie wydaje miliardów jednostek na niewolnika bezinteresownie.

- Hahaha! Paradne! – wykrzyknął. – Zrobiłabyś karierę, jako Wielmożna. Rzeczywiście, jest coś, o co mógłbym cię w przyszłości poprosić. Przemysł moją propozycję – dwa lata życia, za drobną przysługę. Gruber!

- Tak, panie. – Wierny przyboczny wyłonił się zza filaru. Miał na sobie brązowy frak, włosy uładził brylantyną i wyglądał jak staroangielski lokaj. – Jak mogę służyć?

- Odprowadź panią do drzwi.

- Naturalnie.

\*\*\*

- Jak było? – Yoshi wstał z krzesła, kiedy Artemida wkroczyła do kuchni, zdzierając z siebie wymyślną kiecę.

- Fatalnie – odpowiedziała pospiesznie – facet ewidentnie chce mnie wykorzystać.

- Ale... Biznesowo czy jakoś inaczej?

Popatrzyła na niego z wyrzutem, jakby miał dwanaście lat i dopiero czekał na inicjację z kobietą.

- A jak myślisz, Yoshi? To Wielmożny. Oczywiście, że biznesowo i jakoś inaczej, tylko nie wiem w jakiej kolejności. Muszę się stąd zbierać...

- I jak niby chcesz to zrobić, Arte?

- Mam plan. Ale potrzebuję jednej rzeczy. – Naprędce naskrobała jakieś literki na kartce papieru i wręczyła przyjacielowi. – Ty wszystko potrafisz załatwić. Ogarniesz to?

Dała mu kartkę z namaszczeniem, jakby przekazywała testament. Chłopak spojrzał na zapisane niezgrabnym pismem słowa i spytał, unosząc wysoko brwi:

- Serio?

Ona jedynie obdarzyła go uśmiechem.

\*\*\*

Szcęk mieczy dobiegający ze szkoły gladiatorów otwierał kolejny dzień wyczerpujących treningów. Dwóch zawodników zadawało i parowało ciosy, ostrza krzyżowały się raz po raz, w powietrze wzbijał się piach, gdy wykonywali unik. Byli podobnie wyszkoleni, przez co żaden nie mógł zdobyć znaczącej przewagi. Jednak sesja treningowa rzadko kiedy oznaczała rany, a tym bardziej śmierć. Miała na celu bardziej utrzymanie formy i koncentracji.

Na trybunie zasiadł ich właściciel, Vilem wraz z Gruberem. Obserwowali zmagania w skupieniu. Gruber wyglądał na wyjątkowo spokojnego, jakby nie patrzył na walkę, tylko film szkoleniowy. Jego pan zaś miał iskry w oczach. Na szlachetnej twarzy widniało jednocześnie zadowolenie i rozczarowanie jak w klubie z gołymi tancerkami, gdzie mężczyzna jest rad nagim, kobiecym kształtom, a jednocześnie współczuje atrakcyjnej kobiecie nieatrakcyjnej doli.

- Widzisz to? – Vilem wskazał Arenę. – To przyszłość.
- Czyli co właściwie? – Gruber nie pojął słów przełożonego.
- Awatary. – Odwrócił się do niego ze sztucznym uśmiechem na twarzy.
- Wybacz, panie, ale nadal nie rozumiem.

- Widzisz, mój drogi – Vilem swoim zwyczajem złączył ręce za plecami i jął się przechadzać w tę i z powrotem – wyszkolenie gladiatora jest jak szlifowanie diamentu. Bierzesz do ręki z pozoru niewiele wart kamyk, obrabiasz, aż utworzysz zeń dzieło sztuki olśniewające jak dotyk boga. Różnica tkwi w kosztach. Do szlifowania diamentu wystarczy ci odpowiedni sprzęt. W wojownika musisz zainwestować dużo więcej. Trzeba wybrać odpowiedni okaz, kupić go, opłacić trenerów, szkolenia z posługiwania się przeróżnymi broniąmi, marketing, areny, promocja. – Pokręcił głową. – Nie, to zdecydowanie zbyt wielkie nakłady, niewspółmierne do zysku netto. A to – ponownie wskazał arenę – tworzysz awatar za połowę tego wszystkiego.

- Jak to działa? – spytał asystent.

- Prosty mechanizm. NASA testowała to kilkaset lat temu, ale poniechali projekt. Sprzężenie neuronowe. Po drugiej stronie masz odpowiednio wyszkolonego zawodnika, jego ruchy są przekazywane do awataru. Walczy, a nie ginie.

- Zaraz. – Mina Grubera wyrażała wszelkie odmiany zdumienia. – Mówiłeś coś, panie, o redukcji kosztów, ale czy to spełnia kryteria? Tworzysz awatar, sprzęgasz z gladiatorem, awatar ginie na arenie, pieniądze w błoto.

Vilem zatrzymał się i spojrzał na przybocznego z rozbawionym zaciekawieniem.

- Nie rozumiesz, prawda przyjacielu? – Wrócił do przechadzki po izbie. – Nie widzisz różnicy między zniszczeniem awataru a śmiercią gladiatora. A ja ją dostrzegłem. Dostrzegli to też starożytni. *Ave Imperator, morituri te salutant*. Wiesz, co znaczą te słowa. Idący na śmierć. Lecz nie wiem, czy wiesz, ale raptem dziesięć procent walczących rzeczywiście traciło życie. Częściej arbiter przerywał walkę lub pokonany poddawał się. Gladiator umiera wraz z jego talentem i wyszkoleniem, a to coś, czego żadne pieniądze ci nie kupią. Choćbyś posiadał całą galaktykę we władanie. A ja mam talent. I dzięki niemu będę władał galaktykami. Ty zaś, Gruber – zwrócił się do pomocnika – dostąpisz zaszczytu towarzyszenia mi w tym dziele.

- Oczywiście, panie.

Vilem wrócił wzrokiem na arenę. Podziwiał maestrię ruchu i agresji wojowników. Każde zetknięcie ostrzy wywoływało u niego dreszcz ekscytacji. W pewnym momencie jeden z gladiatorów zyskał przewagę, wytrącił miecz przeciwnikowi z ręki i przeszył jego trzewia.

Na wierzch wylazły przewody, iskry strzelały z otwartej rany jeszcze przez moment, po czym awatar padł na ziemię. Vilem wydał usta z niesmakiem.

- Spójrz, Gruber. – Przyboczny podążył za spojrzeniem pana. – Czegoś im brakuje. Widzisz? Wojownik padł na ziemię bez życia, ale nie trysnęła krew, twarzy nie wykrzywił grymas bólu, nie czujesz jego przerażenia w związku z nadchodzącym zgonem. Nie ma tego... czegoś. Widzowie tego nie polubią.

- Awatary to podróbki człowieka, panie.

- Niedoskonałe podróbki. Ale kiedy odkryję sekret Artemidy, będą o krok od perfekcji.

\*\*\*

„Wspomnienia Gladiatora”, autor nieznan.

18-06-2307, Proxima Centauri b.

*Awatary.*

*Kaprys wielmożnych. Biorąc pod uwagę przeludnienie układów zdatnych do życia, nie uważałbym kilku... no, kilkuset tysięcy zgonów za problem. Choć nadal w mojej opinii śmierć ludzi na arenie ku ucieście gawiedzi to barbarzyństwo i głupota, potencjał awatarów można byłoby wykorzystać dużo lepiej.*

*W kopalniach zamiast drogich maszyn, do testów nowych broni czy kosmetyków, do eksploracji Wszechświata. A wyjątkowo dobre egzemplarze podstawione za najważniejsze osoby w kosmosie...*

*Vilem pewnie też o tym pomyślał. Dlatego tak mu zależało na wydobyciu sekretu Artemidy. Pal sześć areny. Władza nad pozostałymi Wielmożnymi! Nic dziwnego, że miał na to parcie.*

\*\*\*

Yoshi siedział w kuchni i wcinał coś, co z założenia miało być kurczakiem, a z uwagi na część galaktyki, w której się znajdowali, na pewno żyło jako coś innego. Jeśli w ogóle żyło. Na niektórych planetach ekoterrorysty w znacznym stopniu zredukowali ilość mięsa w sprzedaży poprzez zamachy na hodowle zwierząt rzeźnych. Artemida podeszła bezszelestnie i usiadła obok niego. Oparła łokcie na stole i obserwowała przyjaciela w trakcie konsumpcji.

- Co się tak patrzysz? – spytał, przerywając.

- A nie... tak tylko.

- Mędrzec rzekł: „Nigdy nie powinieneś patrzeć w miskę innego człowieka, jeśli nie chcesz jedynie się upewnić, czy ma co jeść”.

- Istotnie, mędrzec... Masz?

Yoshi przeżuł to, co aktualnie miał w ustach i przełknął. Powiedział:

- Mam. Zapomniany utwór, przekonwertowałem go na format bliższy naszym czasom.

- Pięknie ci dziękuję.

- Jesteś wariatka.

- Hah, Yoshi. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Kto lepiej o tym wie, niż ty?

- To się źle skończy...

\*\*\*

Posłaniec Vilema zastał ją pod prysznicem. Po treningu nie miała ochoty na nic innego, jak tylko obmycie znużonego ciała i zasłużony odpoczynek. W szczególności nie podobała jej się perspektywa zakładania eleganckiej sukni i spaceru do pałacu. Jedynie z uwagi na małe, groźne urządzenie w jej czaszce, ubrała się naprędce i poszła za gońcem.

Gdy stała przed Vilemem w jego sali tronowej wielkiej jak hala sportowa do gry w masha, nie była w stanie podnieść wzroku. Zazwyczaj dobrze radziła sobie ze strachem lub stresem, ale teraz stanęła przed życiowym wyborem. I wcale nie była temu rada.

- Podjęłaś decyzję? – padło pytanie.

Artemida cały czas opuszczała pokornie wzrok.

- Tak, panie.

- I jak ona brzmi?

Strach ścisnął jej krtań. Oto los wręczył jej szansę zrzucenia jarzma niewolnictwa i wyjścia na wolność, lecz czy mogła zaufać najpotężniejszemu człowiekowi, jakiego spotkała? Jak mogła wierzyć komuś, kto po trupach wspiął się na szczyt? Ale z drugiej strony – co jeśli mówił prawdę? Czy w ogóle był zdolny do mówienia prawdy? Setki dylematów walczyły w jej umyśle o prymat. Co i rusz któryś wychodził na wierzch, dominował, by za chwilę spaść w otchłań porzuconych myśli.

Przeskoczyła myślą na arenę. Czy w walce kiedykolwiek ryzykowała? Wszystko było wyrachowane, skalkulowane, nawet gdy prowadziła wrogie ostrze przez własne ciało. Nie pozwalała sobie na najmniejszy błąd, na cień niepewności. Miała plan na całe starcie, każdą ewentualność, przewidywała racjonalne zachowanie wroga i brała pod uwagę nieracjonalne,

rzadko improwizowała i głównie dzięki temu jeszcze żyła. Sam fakt istnienia wątpliwości co do propozycji Vilema, dyskwalifikował ją na starcie.

- Wybacz, panie, ale muszę odmówić.

„Co teraz się stanie?” – myślała. „Każę mnie zabić? Pojmać? Nie może, jestem własnością Risto”. Drżała. Myślała, że w ten sposób ryzykuje najmniej, ale właśnie zdała sobie sprawę z prawdziwego ryzyka, jakie podjęła. Ten jeden raz w życiu nie wszystko przekalkulowała.

- Och – odparł Vilem. Wstał i skrzyżował ręce za plecami. Jego twarz rozpromienił najłagodniejszy z uśmiechów. – Nie szkodzi. Szanuję twoją decyzję, choć nie kryję rozczarowania. Myślałem... - Odwrócił się. – Nieważne, co myślałem.

Zamilkł.

Do Artemidy podkradł się Gruber i szepnął jej wprost do ucha:

- Powinnaś opuścić pałac, pani.

Ujął wojowniczkę za rękę i chyłkiem wyszli.

- Odprowadzę panią do drzwi i muszę wracać.

- Powiedziałaś coś nie tak? – spytała.

- Trudno orzec. – Gruber wyglądał na zaniepokojonego, ale głos miał wyjątkowo opanowany. - Vilem w jednej chwili może cię obsypać diamentami, by zabić chwilę później. Nie sposób przewidzieć jego humory, jednak wiem jedno na pewno. Kiedy znienacka milknie, chce być sam. Muszę już iść, pani.

Szarpnęła go za rękę i spojrzała prosto w oczy. Dostrzegła w nich coś nienaturalnego, dziwny spokój, choć sytuacja wydawała się napięta.

- Czy...?

- Nie wiem. Naprawdę muszę...

Wyrwał się z jej uchwytu i odbiegł.

\*\*\*

Przyboczny Vilema zjawił się w sali tronowej kilka minut potem. Nie przepadał za tego typu sytuacjami. Jego pan z reguły słabo znosił odmowę.

- Gruber, dobrze, że jesteś – przemówił Vilem. - Wezwij Lanzarote'a.

- Spec od ekstrakcji neuronowej?

- Tenże. Skoro Artemida nie chce zdradzić sekretu ojca po dobroci, wydobędziemy go prosto z jej głowy. A to, czy ją uprzednio odetniemy, pozostaje kwestią otwartą. I ściągnij tego gladiatora z Maroon.

- Wirtha?

- Nie interesuje mnie jego imię.

- Ależ panie, on nie jest czysty...

- Nie dbam o to. Ona musi zginąć.

\*\*\*

Artemida miała nadzieję, że jej ostatnie starcie na arenie będzie choć odrobinę łatwiejsze. Gdy ucichła zapowiedź, gry wrzawa widowni osłabła, słyszała w głowie jedynie swój własny głos.

„Zginiesz marnie. Zginiesz marnie”.

- On ma mody, wiesz o tym? – Dobiegł do niej krzyk Yoshiego.

Patrzyła na przeciwnika. Doskonale widziała charakterystyczne wzorki grafetanowych wstawek, które dla niewprawnego oka mogły wyglądać jak perfekcyjnie wyrzeźbione mięśnie. Wszczepiony pod skórę materiał, twardy i niemal nieprzebijalny, genetycznie zsynchronizowany z resztą ciała uniemożliwiał zadanie śmiertelnego ciosu. Cięcie lub klucie przebijało skórę, lecz ostrze ześlizgiwało się po płytkach, nie czyniąc większej szkody. Na pewno miał do tego modyfikowany szpik kostny i płytki krwi. Lata temu, gdy grafetanowe wstawki wprowadzono u wojowników, rywale zorientowali się, że jedynym sposobem na uzyskanie przewagi jest wykrwawienie oponenta. Kontrą na to była nadprodukcja krwi w momencie wydzielania adrenaliny oraz zwiększona krzepliwość.

Artemida miała świadomość, że przeciwnik posiada też inne modyfikacje. Lepszy refleks, kontrola przepływu endorfin, adrenaliny oraz bodźców bólowych. Wiedziała też, jak sobie z tym radzić. I gdzie nie można wstawić płytek.

Domyślała się, że Vilemowi nie spodoba się jej odpowiedź. Wielmożni przywykli do otrzymywania wszystkiego, cokolwiek zapragną. Wydanie wyroku śmierci należało do oczywistych. Oczekiwała jednak nasłania zabójców, może porwania i upozorowania wypadku. Nie spodziewała się tak subtelnego rozwiązania, jak nieuczciwy pojedynek na arenie. Jednak nie zamierzała tanio sprzedać skóry.

Wbiła miecz w piach, nabrała garść i wtarła w dłonie. Ujęła miecz i spokojnym krokiem ruszyła na przeciwnika. Obserwowała jego ciało, sposób poruszania, postawę, analizowała

wszystkie szczegóły, by mieć jakikolwiek obraz tego, z czym walczy. Nie przewidywała lekkiego pojedynku.

Wirth odziany jak klasyczny samnita zaatakował pierwszy. Cios mieczem był szybki, silny, ale zawodnik nie włożył weń pełni mocy. Artemida poznała to po dźwięku, jaki dobył się ze stawu łokciowego. „Endoszkielec” – pomyślała. „Sprytnie”. Wzmocnienia dawały gladiatorowi taką siłę, że mógł wyrzucić przeciwnika dosłownie na orbitę planety. Kolejne cięcie powędrowało w nogi. Artemida okręciła się piruetem. Gdyby podskoczyła, opadając nadziałyby się na ostrze. Podskoki, salta i różnorakie figury gimnastyczne sprawdzały się w starciach pokazowych, ale nie w atrakcji wieczoru.

Postanowiła zaatakować. Ustępowała przeciwnikowi szybkością i siłą, zwinnością pewnie też, lecz nie mogła przecież poddać się bez podjęcia walki. „Dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą”. Pchnięcie na korpus w szybką fintę z prawej. Pchnięcie odbił, finty uniknął. Odwróciła się natychmiast, tnąc tam, gdzie według niej był rywal. Ten wykorzystał fakt, że miał jej plecy. Ciął precyzyjnie między łopatki. Miało zabość, rozszłościć, ale nie zabić. Rozgrywał ją jak partię pokera z pierwszorocznikami. Natarła wściekle z pełną świadomością porażki. Chwyił jej rękę, uderzył czołem w twarz, podciął nogę i sprowadził do parteru. Padając, wykorzystał pęd i wbił w nią miecz aż po rękojeść.

- Nie trafiłem, prawda? – usłyszała, choć nie poruszył ustami.

Nie trafił. Poprowadziła ostrze między śledzioną a żołądkiem. Przy odrobinie szczęścia nie zdąży się wykrwawić.

Wydobyła sztylet. Zadała zaskakujący cios, ten sam, którym wykończyła Góroczełka – w podbródek, celując w mózg. Ostrze trafiło w grafetanową płytkę, co było dla niej zaskoczeniem. Według jej wiedzy umieszczenie tam osłony wiązało się z usunięciem języka, ślinianek i części krtani. Rzadko kto się na to decydował, bo osłona, choć skuteczna, ujmowała medialności, a przecież chodziło o robienie pieniędzy. Więc Wirth...

- Miło było poznać. – Ponownie usłyszała syntezator mowy. – Naprawdę cię szanuję.

Wcisnął przycisk na rękojeści. Klinga w trzewiach Artemidy zadziałała jak blender. Niewyobrażalny ból wybrzmiał rozzwierającym wrzaskiem umierającej kobiety.

\*\*\*

„Wspomnienia gladiatora”, autor nieznany.

29-06-2307, Proxima Centauri b.



*Śmierć Artemidy wstrząsnęła środowiskiem walk niewolników. Odchodziła wielka sława, a wraz z nią niezrównany talent i charyzma. Podobno sam Risto, jej pan, miał osobiście przybyć po zwłoki i zorganizować pogrzeb godny wolnego człowieka.*

*Szczerze darzyłem ją respektem i podziwiałem. Teraz z perspektywy czasu mogę z całą świadomością rzec, że dane mi było poznać jedną z najuczciwszych osób w galaktyce. Żałuję jedynie okoliczności.*

*Mimo to po walce coś nie dawało mi spokoju. Pomyślałem, że jeśli na noc wyłączę alarmy w posiadłości Vilema, mogę upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.*

\*\*\*

W pałacu Vilema wiele rzeczy pozostawało niezauważonymi. Niewolnicy wymykali się nocami, by choć na kilka godzin zażyć sztucznej wolności. Pracownicy kuchni ucztowali na koszt gospodarza. Urzędnicy niższego szczebla knuli niezliczone intrygi, dość niskie, by nie budziły zainteresowania Wielmożnego, ale dość ważne dla nich samych. Ot, jak uszczknąć troszkę więcej z pańskiego stołu, jak choć odrobinę polepszyć swój byt.

Nikt też nie zauważył szczupłej, ciemno odzianej istoty, która wspinała się po jednej ze ścian wprost do sypialni Vilema.

Cicho opadła na gruby dywan. Ujrzała postać śpiącą spokojnie w łożu wielkości fregaty. Delikatne chrapanie drażniło uszy, śpiący przekręcił się z boku na bok. Szczęście zdobiło jego twarz, pewnie miał przyjemne sny. Artemidzie prawie zrobiło się go żal. Dawno temu, kiedy jej życie było prawie normalne, mieli z ojcem kotkę. Pewnej wiosny okociła się. Trzy maleńkie pstrokate kocięta, piszcząc niemiłosiernie, walczyły o pokarm. Najedzone i zadowolone, wtulone w matkę spały spokojnie, jakby miały żyć wiecznie. Vilem przypominał jej te kocięta.

Wskoczyła na łóżko i obezwładniła go, zanim na dobre się obudził.

- Chyba nie przyszedłeś ze zmianą decyzji – powiedział.

- Chyba nie – odparła i bez zbędnych ceregieli wbiła mu sztylet pod mostek.

Vilem w pierwszej sekundzie wyglądał na zdziwionego. W kolejnych gasł, w miarę jak wpływało z niego życie. Artemida w nad wyraz spokojnych oczach dostrzegła jedynie żal i rozczarowanie.

- Moja... Gwiazda... - wymamrotał, plując krwią.

- Ani twoja, ani niczyja, ani gwiazda – warknęła wojowniczką, przekręcając ostrze.

Ranny stęknął z bólu i zszedł.

Artemida nie traciła czasu. Szybko i z przerażającą wprawą wydobyła oko z oczodołu. Następnie odcięła dłoń zabitego. Udała się wprost do sekretnego pokoju. Wysunęła konsolę i wprowadziła kod. Poproszona o skan tęczówki, przyłożyła oko. Następnie umieściła dłoń w płycie. Pancerne drzwi wydały syk i stanęły otworem.

Weszła do środka i usiadła. Włączyła komputer. Ekran rozbłysnął mdłym światłem. Wśród setek ikon odnalazła właściwą i kliknęła. Wybrała opcję: „Dezaktywuj wszystkie”. Według statystyk Vilem posiadał na własność około siedemnastu bilionów niewolników. Wystarczyło wprowadzić hasło, potwierdzić, a wszyscy odzyskaliby wolność. Wpisała skomplikowaną kombinację, którą z trudem zapamiętała podczas ostatniej wizyty. Tuż przed ostatnim kliknięciem usłyszała:

- Wybacz, ale nie mogę ci na to pozwolić.

Hector Gruber, wierny przyboczny Vilema dzierżył napiętą kuszę i celował w Artemidę. Na pewno zdążył już odnaleźć martwe, okaleczone ciało pana i nie był skłonny do negocjacji. Tajemnicze, przerażająco spokojne oblicze nie zdradzało cienia emocji. Kusza ani drgnęła.

- Głupcze! – odwarknęła Artemida. – Uwolnię wszystkich bez wyjątku. Także ciebie. Dezaktywuję Rdzeń i udasz się, gdzie chcesz! Nikomu nie będziesz służył.

- To za mało. Rozejrzyj się. – Wskazał głową pomieszczenie. - Co tu widzisz? Ty, która oficjalnie zginęłaś na arenie, martwy Wielmożny Vilem oraz Hector Gruber, który przejmie władzę po nim na mocy umowy partnerskiej. A potem Gruber przekaze ją swojemu stwórcy.

Artemida zmarszczyła brew. Przyjrzała się bliżej przybocznemu. Najpierw nie mogła w to uwierzyć, lecz im dłużej rozmyślała... Niewzruszony spokój, brak empatii, monotony głos. Rzeczywiście mogła nie mieć do czynienia z człowiekiem. Tylko kto ukradł projekt? Kto miał dość zdolności i środków, by stworzyć awatar? Ona, złodziej i zleceniodawca. Kto był po drugiej stronie?

- To ty zabiłeś mojego ojca? I ukradłeś projekt? A teraz sterujesz Gruberem.

- Przykro mi, Arte.

Tylko jedna osoba się tak do niej zwracała. Wtedy jej serce pękło na pół. Z początku nie chciała wierzyć, jednakże z biegiem czasu znajdowała coraz mniej argumentów za tym, by mogło być inaczej. Wychodziło na to, że człowiek, którego przez najcięższe lata życia, przez długie tygodnie na arenie uważała za przyjaciela, prawie brata, stanowił przyczynę tychże nieszczęść. Twarz, która witała ją w szatni po walce, którą widziała w lazarecie na poły tylko przytomna, która krzywiła się na dźwięk suchych żartów... była twarzą zdrajcy.

Artemida uniosła brew:

- Jak...? – Spytała.

- Nie było cię w domu, gdy kradłem projekt. Miało być pusto, twój ojciec wrócił na moment, czegoś zapomniał. Nie mogłem pozwolić, by mi przeszkodził. – W miarę tych słów oblicze Artemidy zmieniało się, a widać było na nim wszelakie emocje. – Dostałem zlecenie jedynie na kradzież, a za zabójstwo... trafiłem na arenę. Nie nadawałem się do walki, ale moje zdolności manualne dały mi posadę kwatermistrza. W międzyczasie stworzyłem ten awatar.

- Jak... jak to możliwe, że przez tyle czasu nikt się nie zorientował?

- Słyszałaś o narkolepsji? – Awatar uśmiechnął się sztucznie. – Za każdym razem, gdy przerywałem sprzężenie, Gruber padał jakby zemdłał. Te głupki niosły go do łóżka!

Zarechotał, lecz Artemidzie nie było do śmiechu. Jej dusza krwawiła rozczarowaniem i zaufaniem zabitym przy pomocy wynalazku ojca. Krwawiła żalem po kochanej osobie zgładzonej przez chciwość i zrządzenie losu. Krwawiła nieutuloną tęsknotą za życiem, które mogła mieć jako medyczka. Mąż, dzieci, dom i ratowanie życia zamiast odbierania go. Wszystko to nikło w pustych oczach awataru, którym sterował Yoshi.

- Dam ci szansę. Odejdiesz stąd, a ja potwierdzę, że nie żyjesz. Pewnie masz pochowane jakieś oszczędności, poukrywasz się przez pewien czas, a któregoś dnia, kto wie, może zaczniesz normalnie żyć. Zaś zanim dezaktywujesz Rdzenie, zabiję cię.

- Jaki refleks ma ten awatar? – spytała, wciskając klawisz „ENTER”.

Równocześnie z kliknięciem, brzęknęła cięciwa i bełt poszybował wprost w pierś wojowniczkii. Siła uderzenia cisnęła nią o ścianę. Martwa padła na podłogę.

Wtedy drzwi stanęły otworem i do środka wbiegła pałacowa straż:

- Co tu się... - powiedział kapitan, a w lot zrozumiał sytuację, wykrzyknął: - Gruber zabił pana! I Artemidę! Brać go!

Przyboczny w jednej chwili zebrał się do ucieczki i wyskoczył przez okno. Po upadku z jedenastu metrów nie było czego zbierać.

\*\*\*

Dziesięć sekund po dezaktywacji niewolniczych rdzeni, w umysłach wszystkich zniewolonych zabrzmiały słowa Lisy Gerrard z muzyką Hanza Zimmera w tle, zaś w ich sercach zabrzmiał tytuł: „Jesteśmy wolni”.

\*\*\*

„Wspomnienia gladiatora”, autor nieznany.

16-07-2307, nieznana planeta.

*Teraz już wiem, jaki sekret swojego ojca posiadała Arte. Wiem także, skąd tak dobrze znała anatomię. Z tego powodu stołeczni medycy mają w prosektorium dwa identyczne trupy trzydziestokilkuletniej kobiety. Porównują szczegóły – odciski palców, barwy tęczówki, układ naczyń krwionośnych, nawet połączenia nerwowe w mózgu. Chora zabawa w „znajdź dziesięć różnic”.*

*I nic. Jedyne wnioski, to bliźniaczki, i byłby niemal słuszny, gdyby nie takie same bliźni.*

*Ja natomiast wiem, że żaden z tych trupów nie jest autentyczny. Artemida nie zginęła ani na arenie, ani od mojego beltu. I będzie mnie szukać, aż znajdzie i odbierze zapłatę w krwi za swoje nieszczęścia.*

*Ona albo jej doskonały awatar. I nawet jeśli ją zabiję, nie będę miał pewności, czy jest martwa.*